

GEORGES MEIRS.

# Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

1

## Skradziony trup.

Leżałem od kilku dni chory i zmuszony byłem prosić mojego sekretarza, aby mi przyniósł do domu akta paru spraw, które przejrzeć chciałem.

Przeglądałem, znudzony trochę, notatki różne i liczne, zebrane od lat paru przezemnie, dotyczące się śledztwa policyjnego mojego przyjaciela, Wiliama Tharpsa. Był to znany i ceniony detektyw angielski.

Prawie w tych wszystkich sprawach jego brałem udział i każda z tych kartek, trzymanyh przezemnie w ręce, budziła we mnie dawne wspomnienia. I znowu raz jeszcze przeżywałem te chwile wzruszające i tragiczne i myśl moja wskrzeszała na nowo różnorodne, ciekawe okoliczności i wypadki, towarzyszące śledztwu mojego przyjaciela.

Akta, które miałem w rękach, zawierały notatki sprawy najciekawszej, którą zajął się Wiliam Tharps i której poświęcił wiele pracy i cierpliwości.

Przeczytawszy je jeszcze raz dokładnie, postanowiłem zaznajomić z nią czytelników moich, nie chcąc, aby genialna działalność Wiliama Tharpsa została im obcą.

Było to w październiku 1913 roku.

W czasie tym, w Saint Mande, na wschód od Paryża, znajdował się pensjonat familijny, administrowany przez panią Donay, wdowę po wyższym oficerze.

Pani Donay nie miała dzieci i za namową wuja, przy pomocy małego kapitaliku otworzyła to przedsiębiorstwo, które z każdym miesiącem rozwijało się pomyślniej.

Była to kobieta trzydziestopięcioletnia, wysoka, zgrabna, ubrana zawsze z wyszukaną prostotą i wytwornością. Twarz jej pogodną i świeżą oceniały gęste, czarne włosy, niewiele różniące się odcieniem od wielkich, wyrazistych oczu. — Kilkakrotnie od śmierci jej męża ubiegano się o jej rękę, ale pani Donay bezwzględnie odmawiała wszystkim swoim pretendantom. Czula się zupełnie szczęśliwą i spokojną w swoim pensjonacie, wzorowo prowadzonym i nie marzyła wcale o innym życiu.

Budynek, w którym mieścił się pensjonat, znajdował się w głębi dużego ogrodu, którego główna brama wychodziła na ulicę Daumesnil. Wzniesiony był na kształt długiego, dwupiętrowego hotelu, do którego prowadziły przez taras szerokie, marmurowe schody.

Pani Donay urządziła prywatne swoje mieszkanie w połowie lewej pierwszej piętra. Był tam salonik, dwa sypialne pokoje i buduar z łazienką.

Drugą część piętra, prawie całą, zajmował wuj jej, pułkownik de Ricotte.

Pan de Ricotte spensjonował się przedwcześnie z powodu wypadku, jakiemu uległ spadłszy z konia i po którym pozostało mu lekkie zesztywnienie prawej nogi.

Pułkownik był wdowcem i posiadał dosyć znaczny majątek. Kiedy pani Donay, idąc za jego radą, otworzyła pensjonat, stał się jej stałym gościem i opiekunem. Pomiedzy pensjonaryuszami wyrobił sobie szacunek i uważany był za głowę domu, do którego zwracano się z każdą ważniejszą potrzebą.

W salonie ubiegano się o jego towarzystwo i słuchano z upodobaniem jego opowiadań z licznie odbytych podróży, a służba wykonywała jego rozkazy z całym posłuszeństwem i gorliwością.

Pensjonat „Donay“ rozwijał się w warunkach bardzo pomyślnych. Położony był w lasku Vincennes, w powietrzu czystym i zdrowym i okolicy bardzo malowniczej.

Kuchnia w nim była wybredna, komfort niecodzienny, służba zręczna i wyszkolona. Dyskretna reklama dostarczyła pierwszych gości, następni napływali w takiej obfitości, iż pani Donay zmuszona była niejednokrotnie odmawiać zamówieniom.

W czasie, w którym w pensjonacie „Donay“ wydarzył się tragiczny i wstrząsający wypadek, omawiany długo w najdalszej okolicy, między starymi gośćmi zakładu przeważali cudzoziemcy. Było tam kilka starych dam, rentierek, studentów, kształcących się w Paryżu, paru profesorów i uczonych, artystów i malarzy.

Od czasu do czasu młodzież za pozwoleniem pani Donay urządziła wieczorki tańczące lub kon-

certy i w te dni dla starszych osób przygotowany był stół do bridge'a w przyległym gabinecie.

Pomiedzy wszystkimi gośćmi panowała harmonia najzupełniejsza, gdyż po większej części byli tu ludzie, pragnący spokoju i wypoczynku.

Personal służbowy składał się z lokaja, trzech pokojowych, kucharki i kobiety do posług, której mąż był ogrodnikiem.

I oto jednego dnia ciche życie pensjonatu pani Donay zostało poruszone do głębi wstrząsającym dramatem.

Od tygodnia już mniej więcej przybył nowy gość. Był to pan d'Orwald, wysoki, elegancki, młody człowiek o sympatycznej bardzo powierzchowności.

Wszyscy w pensjonacie przyjęli go jak najżyczliwiej, a nawet pułkownik Ricotte, surowy i bardzo wymagający, polubił go szczególnie i chętnie szukał jego towarzystwa.

Wiadomość, udzielona przez panią Donay, że nowoprzybyły jest muzykiem i poetą zarazem, wywołała entuzjazm ogólny. Pan d'Orwald należał do bogatej i znanej rodziny i przedstawiony został pani Donay przez hrabiego de Montgomery, dawnego koleżę jej męża. O rodzinie swojej nie mówił nigdy, wspominał raz tylko, że rodziców stracił w wczesnym bardzo dzieciństwie i smutek i nerwowość, jaką niekiedy okazywał, brano na karb smutnych wspomnień z lat młodych. A gdy raz, w chwili większego podniecenia duchowego, zdradził się, że napróżno szuka po świecie ukojenia po ciężkim zawodzie miłosnym, jaki go dotknął, wszystkie panie z pensjonatu, przejęte współczuciem i litością, zaczęły mu okazywać serdeczną życzliwość i sympatię, wzrastającą z dniem każdym.

Już teraz w salonie zajmowano się nim tylko, stał się on centrum, na którym spoczywało spojrzenie wszystkich obecnych, nie wyłączając starych dam rentierek i profesorów.

Można więc sobie wyobrazić przerażenie i zdumienie gości pani Donay, kiedy Julia, pokojowa, zbiegła dnia jednego, jak szalona z górnego piętra, krzycząc, że pan d'Orwald został zamordowany. — Zaniósł mu, jak co dnia, śniadanie do pokoju i zastała go w łóżku, leżącego bez życia. Wszyscy otoczyli pokojową, żądając bliższych wyjaśnień.

Julia opowiedziała, że nie odbierając odpowiedzi na kilkakrotne pukanie, postanowiła wejść do pokoju i zauważyła ku wielkiemu swojemu zdumieniu, że drzwi nie były tak, jak zawsze na klucz zamknięte. Wszedłszy, dostrzegła natychmiast pana d'Orwolda, leżącego w łóżku, jak się jej w pierwszej chwili zdawało, pogrążonego w śnie głębokim. Przybliżyła się więc i zawołała na niego, najpierw cicho, następnie donośnym głosem. Ale pan d'Orwald się nie zbudził. Wzruszona i już zaniepokojona tem milczeniem nienaturalnym, trzymając w jednej ręce tacę ze śniadaniem, drugą ręką dotknęła jego ramienia.

Lecz kiedy i na ten ruch pan d'Orwald nie reagował zupełnie, ujęła go za rękę!

Ta ręka była już zimna!

Przerażona, zrozumiałwszy już teraz, że stało się nieszczęście, uciekla, krzycząc i upuszczając trzymaną w ręce tacę.

Przed nadbiegłą panią Donay i pułkownikiem, pokojowa powtórzyła to zeznanie raz jeszcze, utrzymując z całą stanowczością, że pan d'Orwald nie żyje, bo gdyby nawet był omdlał, to wołanie jej głośnie i potrząsania, wkońcu filizanka gorącej czekolady, wylana na łóżko, byłyby go do przytomności przywróciły.

Pułkownik natychmiast posłał ogrodnika po lekarza i wszyscy obecni wraz z pokojową udali się na górne piętra.

Idąc po schodach pani Donay, która uwierzyć nie mogła w tę nagłą śmierć swojego lokatora, bo ani na chwilę przypuścić nie chciała, że mógł zostać zamordowany — przypomniawszy sobie, że pan d'Orwald, który miał zamiar wieczorem udać się do teatru, zaraz po obiedzie zrezygnował z tego projektu. Być może, że już wówczas czuł się niezdrowym. — Ale dlaczego nie wspomniał o tem nikomu?

Ale kiedy pani Donay weszła do jego pokoju, zrozumiała odrazu, że lokator nie umarł naturalną śmiercią, lecz rzeczywiście zamordowany został.

Wielkie plamy krwi, niezauważone przez pokojową, purpurowymi śladami znaczyły prześcieradło.

Pani Donay, panując wysiłkiem nad ogarniającym ją wzruszeniem, podeszła do łóżka i stanęła zdumiona, nie mogąc słowa wymówić. Twarz jej pobladła silnie i szeroko rozwartymi żrenicami patrzyła przed siebie, na pół nieprzytomna z wrażenia. W bezsilności swojej odwróciła się w milczeniu do stojącego za nią pułkownika, którego twarz niemniej wyrażała zdumienie.

Jednogłośny okrzyk zdziwienia i przestachu wybiegł z ust otaczających.

Łóżko było puste!

Po chwilowym osłupieniu wszyscy zwrócili się ku otwartemu oknu. Ale na dole, na trawniku, nie było żadnych śladów, tylko trawa cokolwiek zdeptana wskazywała, że ktoś niedawno tędy przechodził.

Pułkownik zaś na krawędzi okna znalazł po baczniejszych oględzinach lekkie znaki drabinki sznurowej.

To odkrycie silnie poruszyło wszystkich. Julia, pokojówka, pierwsza osoba, która spostrzegła wypadek, drżała nerwowo i powtarzała w kółko, że widziała dokładnie na łóżku bezwładne ciało młodego człowieka, że dotykała się go nawet!

Jako dowód prawdziwości swoich słów, wskazywała na szczątki porcelanowego serwisu, leżące na podłodze i na wielką plamę, znaczącą prześcieradło.

Odrzuciła nawet kołdrę z łóżka, zwracając uwagę na wyraźny odcisk ciała, utworzonego na miękkich materacach.

Nie mogło być żadnych wątpliwości. Pan d'Orwald najwidoczniej został zamordowany i zaraz po odkryciu zbrodni zuchwali mordercy unieśli jego zwłoki. A stać się to musiało przez krótki okres czasu, w którym pokojowa Julia uprzedziła gości pensjonatu o wypadku.

Pan Ricotte postanowił bezzwłocznie uprzedzić policję i zarządzić śledztwo w zakładzie i otoczeniu, dla przekonania się, czy winni nie znajdowali się jeszcze na miejscu.

W ślad za pułkownikiem pani Donay wyszła z pokoju i przechodząc koło drzwi, poślizgnęła się na jakimś przedmiocie. Cofnęła się gwałtownie, bliźka omdlenia, rozpoznawszy w tym przedmiocie palec ludzki, krwią ociekający.

Na krzyk jej zbiegło się parę osób i każda z nich twierdziła, że to musi być palec zamordowanego pana d'Orwolda. Pułkownik, drżąc lekko, podniósł krwawy szczątek i złożył go na łóżku.

Odkrycie to jednak nie wyjaśniało sytuacji i podczas kiedy pani Donay musiała zająć się ratowaniem jednej z pań, która osłabła na ten widok wstrząsający, pułkownik Ricotte pośpieszył zarządzić rewizję pensjonatu.

Lokatorowie innych pokojów, zwabieni krzykiem i poplochem, zbrali się na schodach, komentując żywo wypadek. Tylko profesor Schoetten, poważny staruszek, Niemiec, spał jeszcze, nie wiedząc o niczem. Musiano silnie pukać do drzwi jego pokoju, aby go zbudzić. Wystraszon, zduszonym głosem zapytał o powód tego nagłego przebudzenia, mrużąc coś niezrozumiałego pod nosem.

Kiedy w kilku słowach poinformowano go o zdarzeniu, wyskoczył z łóżka i zarzuciwszy na siebie staroświecki szlafrok i czapeczkę, wybiegł, błagając obecnych o opiekę i ratunek.

Z wielkim trudem zdołano go przekonać, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo i uspokojono cokolwiek.

Poczem pułkownik, wzięwszy ze sobą kilku odważniejszych mężczyzn, wyszedł przeszukać najdrobniejszy kąt domu, nie wyłączając strychu i piwnic. Poszukiwania te jednak nie wydały żadnego rezultatu. W ogrodzie wprawdzie znaleziono ślady stóp, wiodące do okna zamordowanego, lecz gubiły się one wkrótce w gąszczach.

Mordercy musieli unieść zwłoki swojej ofiary przez wąski korytarz, ciągnący się wzdłuż remizy automobilowej, oddawna stojącej bez użytku i przeszli przez ogród, przechodząc koło domku ogrodnika. Tenże jednak nic nie słyszał, chociaż od samego rana nie wydalał się wcale z ogrodu. Raz tylko na kilka minut pobiegł do pensjonatu, zanosząc kosz jarzyn do kuchni. Mordercy musieli być bardzo zręczni i przebiegli, jeżeli w obecności wszystkich zamieszkujących pensjonat mogli dokonać tak śmiałej zbrodni.

W czasie krótkiej nieobecności ogrodnika wsięgnęli się do ogrodu, a następnie do mieszkania i dziwnym zbiegiem okoliczności wtargnęli do pokoju swojej ofiary w chwili, kiedy pokojowa alarmowała dom cały. To przypuszczenie było możliwym, ale teraz nasuwało się pytanie, kiedy, jak i w jakim celu dokonali zamachu na lokatora pani Donay.

Wiadomość o wypadku, jaki się wydarzył w známym i cieszącym się najlepszą opinią pensjonacie pani Donay, rozeszła się lotem błyskawicy po przedmieściu, wywołując popłoch i przeróżne komentarze. Przybycie zaś urzędników policyjnych, zawezwanych przez pułkownika Ricotte, zgromadziło na ulicy tłum ciekawych i żadnych sensacyi. Składał